ROK II. Nr. 39 (88). Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 28 września 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Zaczynamy powieść „NOC MARJI CHANTAL"

KASZTAN CZY KARY?

PAWEŁ KRZOWSKI.

Zagadnienia społeczne w ustroju faszystowskim

(Na marginesie książki A. Menotti Corvi'ego o faszyźmie)



Il Duce Mussolini przed frontem kompanji honorowej, podczas objazdu Piemontu.

Warunki życiowe, wynikłe wskutek wojny światowej wywołały konieczność poddania gruntownej rewizji, poglądów na zagadnienia społeczne, a w niektórych krajach doprowadziły nawet do zmiany ustroju państwowego. Myśl europejska bowiem, otrząsnąwszy się z dawnych majaków utopijnego entuzjazmu dla doktryn, uznała za czynnik decydujący prężną wolę do budowania nowych, objektywnych metod gospodarczych i do zgodnego zespolenia wszystkich wysiłków — kapitału i pracy — w kierunku maksymalnego zabezpieczenia ogółowi i jednostkom ich potrzeb.

I stąd, oczywista, wynikła również radykalna zmiana w ustosunkowaniu się jednostek do państwa.

„Wszystko wewnątrz państwa, nic poza państwem, nic przeciw państwu" — oto zawołanie, za którem poszła odrodzona Italja. Precz odrzucając wszystko, co tchnie anarchią lub samowolą indywidualną, naród pojął, iż jedynem antydotum przed destrukcyjną rewolucją jest faszyzm, który, acz narzucony mu początkowo zapomocą akcji bezpośredniej przez silnie zorganizowaną mniejszość, tem właśnie pociągnął masy za sobą, iż wnosił za sobą ład, budował, kując jednocześnie program społeczny w ogniu życia praktycznego.

Faszyzm pociągnął masy, gdyż nie stanowi czysto mechanicznej konstrukcji dla sprawowania rządów dyktatorskich, lecz wypływa z psychicznych dążeń całego narodu, walczącego o swe odrodzenie, który w Mussolinim — Il Duce — znalazł przewodnika.

„Faszyzm — powiada jeden z głębszych jego badaczów, prof. A. Peretiatkowicz — reprezentuje nacjonalizm pozytywny, wysuwając na plan pierwszy nie walkę z innemi narodami, ale pracę wewnętrzną dla własnego narodu. Dlatego faszyzm wysuwa na plan pierwszy dwie idee, które nie były dość silnie podkreślane przez „nacjonalizm, mianowicie ideę karności oraz ideę godności i znaczenia pracy".

Do szeregu publikacyj o faszyzmie, jakie ukazały się na całym świecie (w Szwajcarji powstał nawet Międzynarodowy Ośrodek Badań nad Faszyzmem) przybyło ostatnio kapitalne dzieło w polskim języku A. M. Corvi'ego, p. t. „Ustrój faszystowski w Italji".



A. Menotti Corvi, autor kapitalnego dzieła o faszyźmie, które niedawno ukazało się w druku.

W pierwszej, syntetycznej części tej książki autor charakteryzuje rozwój grup społecznych pod względem gospodarczym, administracyjnym i kulturalnym. Karna współpraca jednostek, przywiązujących wagę nie do formy ustaw, lecz do ich sensu i świadomych celu, do którego dążą — rozkwitu całości państwowej — podniosła dobrobyt mas i państwa do najwyższego stopnia. Zespolenie wszystkich sił narodu przyczyniło się również do zatarcia różnic pomiędzy klasami społecznemi — stworzyło piękną harmonję, której dobrodziejstwa wszyscy odczuwają bez wyjątku.

Ustrój faszystowski nadał wreszcie godny pozazdroszczenia pęd rozkwitowi kultury narodowej, popularyzując ją wśród najszerszych mas i wychowując w jej kulcie młode pokolenia.

Faszyzm — powtarzamy — nie należy poczytywać za przejściową reformę państwową, wynikającą z dyktatorskich zapędów jednostki. Faszyzm jest piękną emanacją twórczego ducha latyńskiego, a że rozwiązuje węzeł gordyjski zagadnień społecznych, hamujących rozkwit narodów — ideologja ta, tak znakomicie realizująca się w Italji, otwiera jednocześnie nową erę odrodzenia Europy.

Uprzejmie prosimy Szanownych Prenumeratorów o dokładne wypełnianie rubryk ankiety nadsyłanej pocztą.

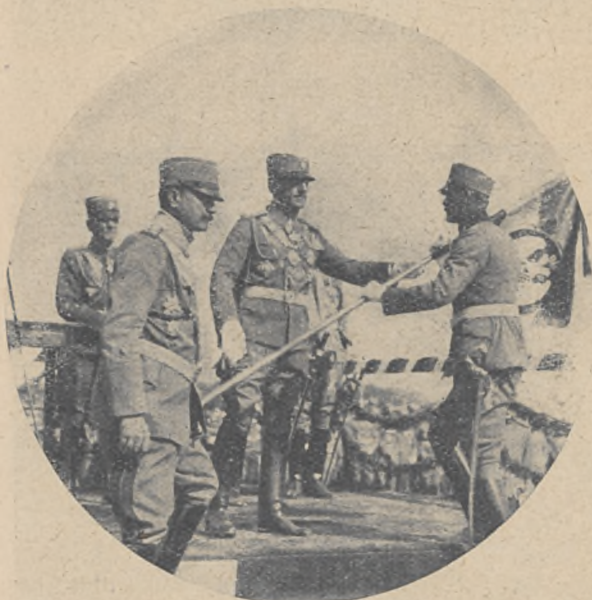
ZMIANA SZTANDARÓW W PUŁKACH JUGOSŁOWIAŃSKICH

Nowy Rząd Generała Zivkovića, który został zainicjowany przez Króla Aleksandra I-go w dniu 6 stycznia 1929 r. dokonał wielkich zmian w uporządkowaniu wewnętrznych stosunków państwa, celowo przeprowadzając duchowe zjednoczenie jugosłowiańskich plemion: Serbów, Chorwatów i Słoweńców.

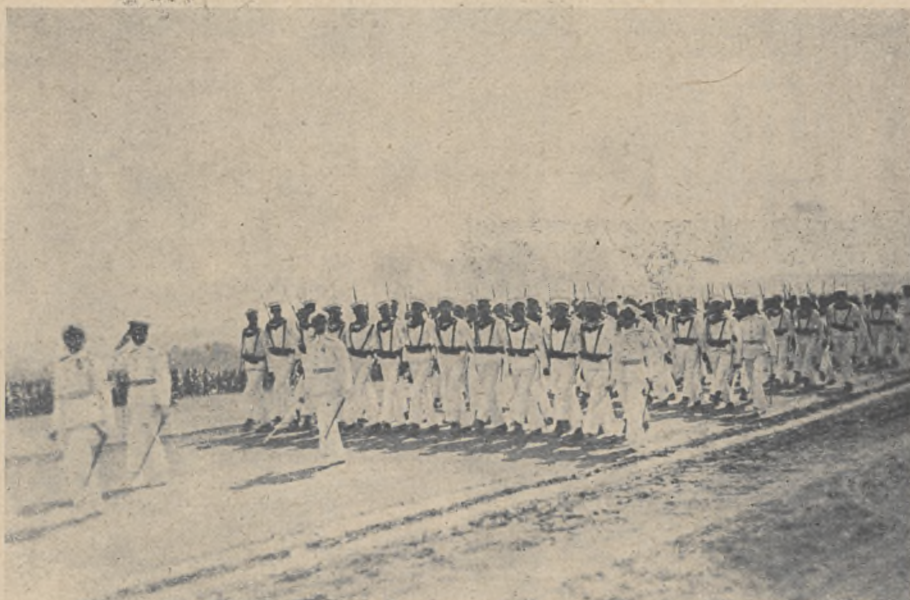
Rząd generała Zivkovića, jak wiadomo, przeprowadził zmianę dawniejszej nazwy Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców na „Królestwo Jugosławji" i dokonał przeprowadzenia nowego podziału państwa na 9 banatów, znosząc w ten sposób stare prowincjonalne granice, które były jednym z największych powodów do tarć wewnętrznych.



Imponujące wrażenie czynią głębokie kolumny chorążych, składających przysięgę na nowe znaki pułkowe.



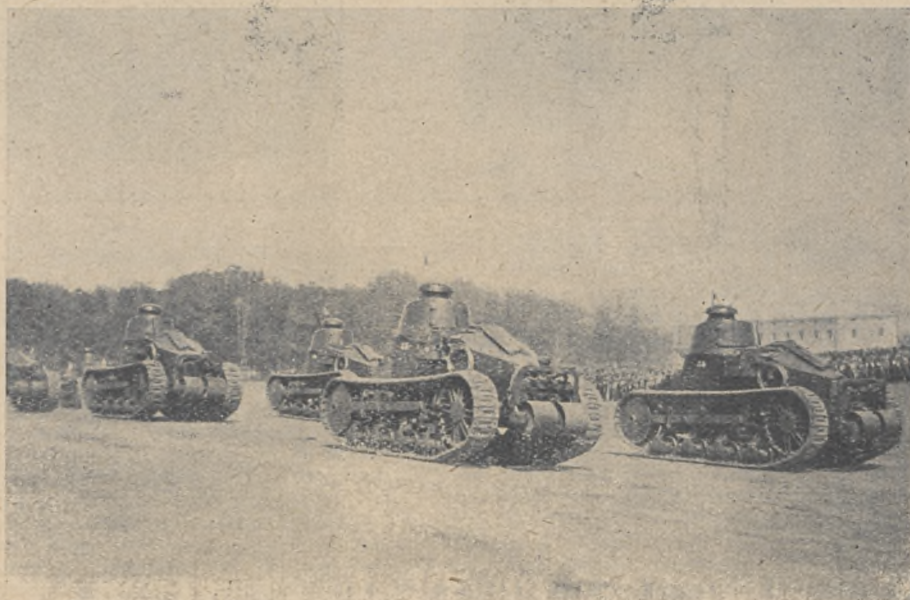
Król Aleksander I-szy dokonuje uroczystości wręczenia nowych sztandarów pułkom.



Podczas defilady, marynarze wywołują zawsze entuzjazm patrzących.

6 września r. b rząd Zivkovića dokonał zmiany sztandarów pułków jugosłowiańskich, zamieniając dawne sztandary serbskie, pomimo, że były uwieńczone sławą w walkach bałkańskich i wojnie światowej, — na nowe sztandary jugosłowiańskie.

W uroczystościach zamiany starych sztandarów na nowe, brał udział Król Aleksander, Królowa Marja, następca tronu Piotr, Rząd, generalicja, delegacje zagraniczne na czele z szefami sztabów generalnych Czechosłowacji, gen. Syrowym i Rumunji — gen. Samsonoviczem. Ponadto odbyły się z tej okazji uroczystości w całym kraju.

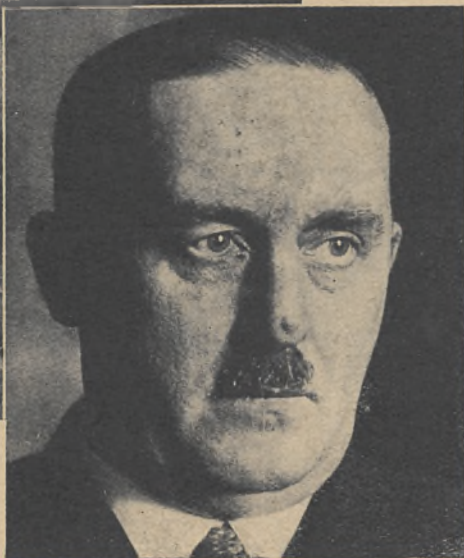


Głuchym warkotem silników pułk tanków salutuje głowę państwa.

Co słychać na świecie



Halina Konopacka pobiła rekord polski w rzucaniu kulą.

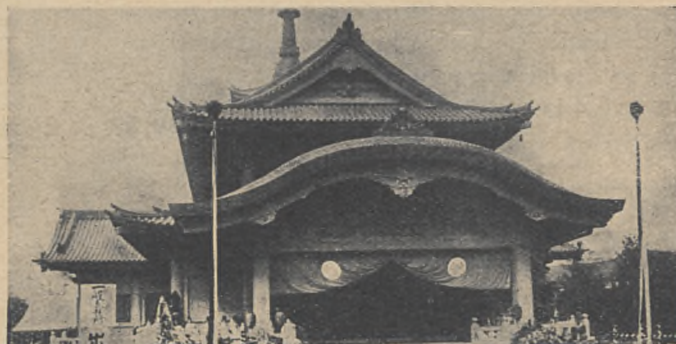


Nowy poseł austrjacki w Warszawie, Robert Egon Hein.



W b. m. zmarł ś. p. Józef Zieliński, artysta Teatru Narodowego.

(fot. J. Malarski.)



Pagoda wzniesiona w Tokjo na miejscu, gdzie 30.000 osób zginęło podczas ostatniego trzęsienia ziemi.



Siosty Negusa Abisyńskiego Ras Tarafi w Berlinie.



W dniu otwarcia parlamentu holenderskiego delegacje kobiece defilowały przed królową.

Whatever happens, we have got
The Maxim gun, and they have not.

Niezbyt może poetycka, ale jakże prawdziwa sentencja, którą podałem jako *motto* do sprawozdania z wydarzeń tygodnia ubiegłego („niechaj się dzieje co chce—lecz my mamy Maksymy, a oni nie...") znakomicie charakteryzuje bynajmniej nie pokojowy nastrój, towarzyszący zdaleka obradom Ligi Narodów. Boć jesień — to nietylko termin, w którym zbierają się w Genewie mężowie stanu, by palmy pokoju składać na zielonem suknie. Pięknej djalektyce, najeżonej paragrafami umów i układów wtóruje w tym czasie groźny pomruk Maksymów, ziejących wprawdzie ogniem ćwiczebnym, lecz markujących niestety najzupełniej realne rozgrywki — natarcia i obrony, grę wojenną zaczepno-odporną. Jesień jest okresem poświęconym manewrom — generalnej próbie w imię zasady: „niechaj się dzieje co chce — lecz my mamy Maksymy..."

Że słowa w tem niema przesady, dowód znajdujemy w obszernych relacjach, które dochodzą codziennie z przebiegu manewrów — z Niemiec, z Francji, z Italji, z Anglji, z Rosji Sowieckiej — no i z ust naszych znajomych, którzy po odbyciu ćwiczeń powracają „do cywila".

Manewry niemieckie zwłaszcza (z których sensacyjne zdjęcia podamy w następnym numerze) przybrały niespotykane w żadnem państwie rozmiary. Rozegrano prawdziwą wojnę, wypróbowano najnowsze metody walki i wzbudzono — co nie jest bez znaczenia — szalony entuzjazm w całym kraju. Podobny nastrój (o Mac Donaldzie!) towarzyszył ćwiczeniom wojskowym w Anglji. We Francji i w Polsce wypróbowano między innemi skuteczność operowania masami kawalerji, wzmocnionej kombinowanem działaniem broni automatycznej, samolotów i czołgów. Sowiety popisywały się na Bałtyku.

Słowem — zawrzało, jak w ulu, jak nigdy jeszcze od czasu zawarcia pokoju...

Próbna mobilizacja sił we wszystkich krajach. I bledną wobec tego wszelkie zawiłe dyskusje o wiecznym pokoju, któryby z pewnością zapanował, ...gdyby to było możliwe.

A tymczasem... maksyma:

Nim pokój czynić będziemy wśród innych narodów, baczmy, by zgoda zapanowała wśród nas samych, bo odporność na wszelkie zakusy z obcej strony gwarantują nietylko Maksymy, ale przedewszystkiem jedność i zespolenie się wszystkich żywotnych sił narodu dla jednej, ogólnej sprawy!...

Er.

TURNIEJ „7-miu DNI"

KTÓRA Z ARTYSTEK SCEN POLSKICH JEST NAJBARDZIEJ CZARUJĄCĄ?

WARUNKI KONKURSU.

Podobizny artystek, nadsyłane przez Czytelników, będą kolejno umieszczone w naszem piśmie. Po ukończeniu turnieju, artystka, uznana za najbardziej czarującą otrzyma cenną nagrodę w postaci

BONU NA PORTRET

wybitnego portrecisty Jana Rudnickiego.

Trzy następne panie otrzymają cenne upominki, a wreszcie pomiędzy panami, którzy głosowali na artystkę, która otrzyma pierwszą nagrodę, rozlosowany zostanie portret.



GŁOSY NASZYCH CZYTELNIKÓW

Czyż nie zasługuje na palmę pierwszeństwa młoda artystka Teatru Ateneum p. Krystyna Dullanka, która łączy wdzięk polskiego dziewczęcia z dystynkcją angielskiej miss?

Old gentleman.

Kupon Nr. 11 do turnieju „7 DNI"

Wyciąć i załączyć do fotografji.



Wczesnym rankiem, na kilka godzin przed otwarciem lombardu, biedota wielkomiejska już zajmuje miejsca w ogonku.

LEOPOLD MARSZAK.

W warszawskiej „lombardji"

(fot. Sitkowski).

Co to jest, proszę państwa, lombard? Hm! — powiecie: też pytanie! Wiadomo — lombard: przybytek wyzysku, jaskinia lichwy, krzyk rozpaczy, ubóstwo społeczne, ostatnia nędza, a wogóle: to, o czem się nie mówi!

Przeciwnie, drodzy czytelnicy: o lombardzie należy mówić, nie znamy bowiem dnia, ni godziny, kiedy się tam znajdziemy, a że lepiej na taką „ewentualność" być zawsze przygotowanym — oprowadzę Was dzisiaj po terenach „lombardji" warszawskiej, krainy — złotem, fantem i kwitem płynącej...

Zasadniczą cechą każdego lombardu jest: im gorzej, tem lepiej, i pod tym względem lombard zawsze przypomina mi zakład pogrzebowy, który również w kiepskich czasach na brak frekwencji uskarżać się nie może, a klijentelę ma pokaźną, cichą i spokojną... Jak i lombard!

Senjorem instytucyj lombardowych w Warszawie jest lombard na placu Napoleona, będący zarazem ulubionym terenem hyjen licytacyjnych.

Po szerokich drewnianych schodach — proszę państwa do wnętrza! Jak ciepło, tłoczno i wesoło! Komu? Ano — pewno właścicielom lombardu, bo chyba nie tej zmizerowanej kobiecinie, która ciepłem, pożegnalnem spojrzeniem obrzuca ślubną obrączkę, zanim ją odda w ręce taksatora. Ani temu elegantowi w mocno podniszczonych żółtych kamaszach i garniturze, który niewątpliwie pięć lat temu był szyty przez pierwszorzędnego krawca; elegant bębni nerwowo palcami „marsza pogrzebowego" po srebrnej papierośnicy, która „gentelmeńską" jego wegetację jeszcze o kilka dni przedłuży...

Ta dama, w czerni i w woalce, na twarz opuszczonej, by jej znajomi nie poznali, jest stałą klijentką lombardu, już od pół roku przynosi co pewien czas pierścionek, kolczyki, lub platery; dziś w paczuszce, sznurkiem owiązanej, przyniosła sześć srebrnych łyżeczek — resztki arystokratycznej niegdyś fortuny.

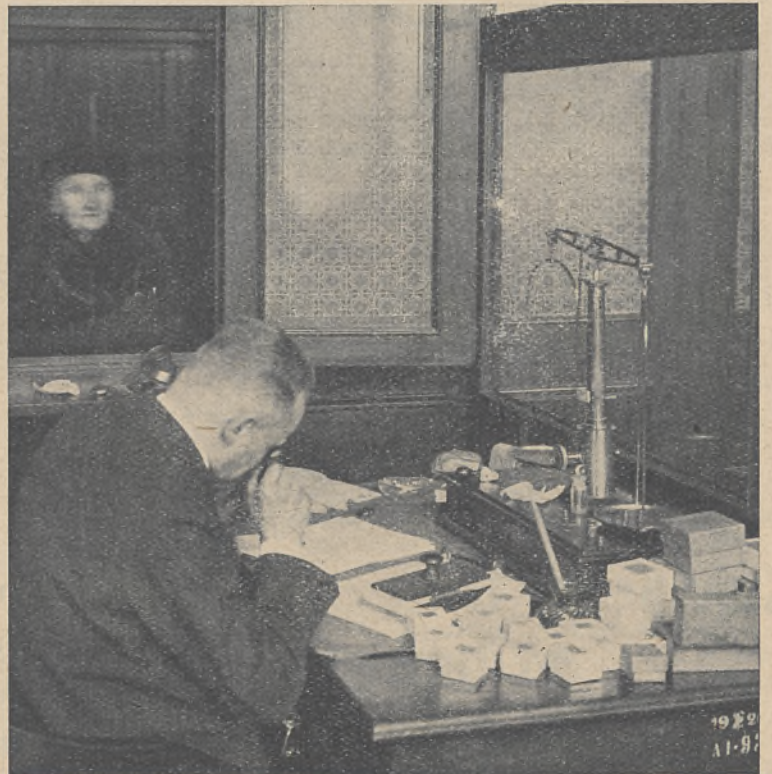
Wybladła twarz zubożałego inteligenta znalazła się przy okienku taksatora, chuda ręka wyciąga z kieszeni srebrny zegarek: proszę pana!

Taksator, stary człowiek, o rysach sępa, otwiera kopertę zegarka, bada przez chwilę jego wnętrzności, kładzie na szalki wag, krytycznym wzrokiem taksuje przedmiot i przy okienku wywiązuje się krótka rozmowa:

Człowiek o rysach sępa: Dwadzieścia!
Blada twarz: (rozpaczliwie) Mało!
Czł. o rys. sępa: Reperowany!



Lombardowi klijenci doczekali się wreszcie wypłaty. Cenny grosz zabierają skwapliwie — boć to przeważnie ostatnia deska ratunku. — Szczęśliwi są ci, co w jakiś czas potem zdobędą dosyć pieniędzy, aby wykupić zastaw. Lecz iluż to takich, co już nie powrócą...



Taksator skrupulatnie ocenia wartość zastawu. Jedni z klijentów z drżeniem oczekują wyroku — inni zaś już dawno wiedzą, czego się spodziewać, wszak jeden i ten sam przedmiot tak często wędruje do lombardu.

Bl. tw.: Raz jeden spadł z krzesła! Zwykły przypadek, proszę pana! Zegar kosztował kiedyś dwieście...

Czł. o rys. sępa: Dwadzieścia!

Bl. tw.: Jestem bezrobotny! Mam chore dzieci...

Czł. o rys. sępa: Dwadzieścia!

Bl. tw.: Chociaż o pięć więcej...

Czł. o rys. sępa: (niecierpliwie) D-w-a-d-z-i-e-ś-c-i-a!

Bl. tw. z cichem westchnieniem wędruje do następnego okienka po kwitek na dwadzieścia złotych.

Od rana do zmierzchu przepływa fala ubóstwa przez lokal lombardu; od rana do zmierzchu wytężona praca przy stoliku taksatora, od rana do zmierzchu toczy się cicha, lecz zajadła walka między Potrzebę a Kapitałem, walka, której jedynem hasłem i dążeniem jest wydobyć jaknajwięcej pieniędzy—pieniędzy—pieniędzy!

*

Jeżeli w lombardzie na placu Napoleona widuje się jeszcze przedmioty cenniejsze i osoby, do niedawna zamożne, jeżeli pożyczka w wysokości pięciuset złotych nie jest tam rzadkością — o tyle lombard miejski, a już specjalnie jego oddział przy ulicy Złotej, jest lombardem ostatecznego ubóstwa.

Już o pierwszej w nocy zjawiają się przed bramą domu, w którym mieści się lombard, blade, wynędzniałe cienie. Przylgną do bramy i tak trwają do świtu, drzemiac na stojąco. Osobliwy ogonek od rana olbrzymieje i, w chwili otwarcia kas lombardu, sięga kilkuset osób. Zastawy? Nie zobaczycie tu ani złota, ani srebra nawet, zrzadka plater jaki błyśnie, a tak: garnki, prześcieradła, patelnia w stary płaszcz owinięta, kołdry, poduszki, kamasze ,liche obrazy, jeszcze z pyłu ściennego nie otarte, wyprawki dziecinne, „zbędne“ nakrycie (jeden nóż, widelec i łyżka na rodzinę starczy!), słowem cały asortyment stołecznej nędzy wydał sobie rendez vous w tym smutnym, lecz, mimo wszystko, pożytecznym przybytku.

Na pochwałę klijentów lombardu miejskiego należy stwierdzić, że rzadko dopuszczają „fant“ do licytacji, przeciwnie, kiedy tylko los im się trochę odmieni — śpieszą do okienka lombardu, nad którym widnieje napis: „*wykup zastawów*“. I, co się okazuje! Oto rzeczy drobniejsze, rzeczy, do których ludziska się przywiązali, prędzej znajdują się z powrotem w domu, niż cenniejsza biżuterja, a nawet ślubne obrączki, których lombard posiada zapas, niestety, bardzo duży...

Niezmiernie charakterystyczne są cyfry, ilustrujące działalność lombardu miejskiego w okresie letnim, kiedy zapotrzebowanie na pieniądz, wskutek ogólnego jego braku, wzmogło się znacznie. I tak: w czerwcu wydano *4376 pożyczek* na sumę *384.637 zł.*, ale w tym samym miesiącu wykupiono *4361 zastawów* za *321.031 zł.* Nadto, *39.761 zł.* wpłacono na poczet częściowego zwrotu pożyczki.

Przeciętna wysokość jednej pożyczki wynosiła w centrali *133 zł.*, w oddziale na Złotej *37 zł.*, ale *były pożyczki po 1 zł. 50 gr.!*

Z pożyczek, do wysokości 50 zł. (nizko oprocentowanych) korzystało *72,14% ogólnej ilości klijentów* lombardu, czyli że, koło ¾ społeczeństwa, szukającego pomocy u kas lombardu nie ma już zbyt wartościowych przedmiotów do zastawienia.

W innych miesiącach wiosennych i letnich b. r. ruch w lombardzie nie podlegał znaczniejszym odchyleniom. I tak np. w kwietniu wydano pożyczek na sumę *370.455 zł.*, a spłacono zł. *312.432.*

W kwietniu *pożyczek do sumy zł. 50 wydano 73,3% ogólnej ich ilości.*

Czy okres wyścigowy wpływa na zwiększenie się obrotów lombardu? Zdawałoby się, że tak! Przecież ludzie przegrywają, a chcąc się odegrać, chyba zastawiają?

A właśnie, że nie! Przynajmniej w lombardach jakoś pod tym względem ruchu nie zaobserwowano!

Tem lepiej dla Was, o grosze!

JIM POKER.

Krew na buforze

Z trzaskiem grzmotu ciężki „Mountain" wpadł w długi korytarz, między podwójny szpaler towarowych wagonów. Bez trudu znalazł wyjście i z głuchem klaśnięciem zapadł się pod okopcone sklepienie jakiegoś wiaduktu. Musnął parkany podmiejskich ogrodów, jakby umyślnie przerwane na jego stalowej drodze. Zatrząsł domkami i willami, przyprawiając je o długotrwałą wibrację. Klasnął o kilka stacyjek, zdławił się pod przepustami, owionął dymem czekających na przejazdach ludzi, zaczkał na zwrotnicach. I wreszcie potulny i jakby zdziwiony, że po drodze niczego nie rozwalił, o nic nie zaczepił, nic nie uszkodził — zatrzymał się grzecznie pod peronem, sapiąc głośno i wyrzucając ze siebie białe wykrzykniki pary.

Palacz Brousse ociężale zlazł z maszyny, i, nie zwracając uwagi na kolorowy, drepczący w miejscu tłum pasażerów, poszedł opatrywać swą „Ninetkę". Zupełnie jak po uciążliwym wyścigu dobry żokiej opatruje ulubioną klacz. Pieszczotliwą dłonią palacz powiódł po stalowych korbach. Były chłodne. Nie nadwyrężył ich szalony wyścig czterech godzin nieprzerwanego biegu, przy sześciuset tonnach żywego balastu.

— Poczciwe zwierzątko. 353 kilometry jednem tchnieniem i nawet nie zagrzane. I woda w tendrze jest. Najlepsza maszyna w całej kompanji.

Zlazłszy na pokryte warstwą żużlu i stężałej oliwy szyny — będące tu, w Paryżu, końcem stalowego szlaku, Brousse zatrzymał się chwilę między buforami. Uniósł głowę i z dumą spojrzał na smukłą linję lokomotywy, na jej karłowaty kominek, na wydatny pępek kotła, na oko cyklopa — pojedyńczą latarnię czołową, na symetryczne wydęcia cylindrów, przebite naskroś stalowemi szpadami suwaków, na zwisający nieskromnie między piersiami buforów potężny łącznik.

I nagle palacz Brousse zadrżał. Wzrok jego padł na lewy bufor, zwykle czysty i wypolerowany jak cynowy talerz w dobrze utrzymanej kuchni.

— Rdza, czy co u licha? — pomyślał i podszedł bliżej. A za chwilę gromko wołał już do maszynisty:

— Ojcze Mathieu! ojcze Mathieu! Chodźcie no tutaj. Musieliśmy kogoś zakatrupić. Lewy bufor cały we krwi.

— *La belle affaire*,—mruknął, gramoląc się ze swej budki, ojciec Mahieu, najstarszy maszynista „Compagnie de l'Est".

Tuż za nim wykwitła biała czapka zawiadowcy. A dalej sztywne kepi dyżurnego policjanta.

— Nic nie czuliście?

— Zaś tam, w Nancy było 14 minut opóźnienia. Odrobiliśmy. Średnia wypada i tak 90. Trzeba było walić 120 z okrakiem. Rozumiecie, że przy tej szybkości nietylko nic nie poczuliśmy, ale i ten biedak także....

— No, niema się czem przejmować. Wracajcie do remizy. Napewno niedługo dostaniemy klasyczny meldunek: „Na kilometrze takim i takim, po przejściu rapidu 1508, znaleziono zmasakrowane zwłoki". Jak będziecie potrzebni, to was wezwę. Jutro rano prowadzicie 1507.

— *Ça va, chef.*

I palacz Brousse przeciągnął raz i drugi trzymanemi w ręku pakułami po fatalnym buforze.

1507 wyruszył nazajutrz o 8.15. Jak dotąd, żadnych meldunków z drogi nie było. Dziwne. Machabeusz nie mógł przecież zapaść się w ziemię. Już ci dróżnicy kiepsko pełnią służbę.

— Eh, bien? — spytał przed samym odjazdem ojciec Mathieu naczelnika.

— Nic. Żadnego raportu. Czy to aby ludzka krew?

— A jaka? — oburzył się Brousse. — Dość długo byłem na wojnie, żeby wiedzieć, jak ludzka krew wygląda. Ale gdyby to był bydlak, winni go i tak znaleźć.

— Pewno. Jedźcie spokojni, ojcze Mathieu. Nie wasza przecież wina.

— Myślę. Tor kolejowy to nie promenoir w „Folies Bergere". Do widzenia.

Ojciec Mathieu szeroko otworzył regulator.

Falujące druty telegraficzne uciekły w bok, a kilka metrów dalej zielony pejzaż lotaryński ustąpił miejsca długim sznurom wagonów. Te z kolei, przywilej zasłaniania horyzontu, ustąpiły wysokim, szarym domom. I zgrzytając hamulcami, rapid wpadł pod okopconą halę dworca w Nancy.

Pierwszą osobą, jaką Mathieu wśród tłumu rozpoznał, była Anna — jego żona. Nie miała zwyczaju przychodzić na dworzec. Zimny dreszcz złego przeczucia zrodził się gdzieś pod czaszką maszynisty i powędrował wzdłuż krzyża.

— Co jest, matko?

— *O, mon homme*, nieszczęście. Zginęła Żermena.

— Jakto zginęła?

— Wyszła wczoraj rano w południe, zaraz po twoim odejściu na służbę. I nie wróciła. Pytałam się sąsiadów, znajomych. Stary Raoul widział ją na przystanku w Champigneulles...

— Co mogła tam robić?

— Nie mam pojęcia. Od czasu, kiedy jej powiedziałeś, że nie zgadzasz się na żadne filmowe wybryki i zabraniasz jej widywać się z tym „rasta", co się koło niej kręcił, dziewczyna chodziła jak struta...

— Kiedy widziano ją w Champigneulles?

— Około trzeciej. Och, boję się, że będzie nieszczęście.

W głowie ojca Mathieu zestawienie. O 15.10 odchodził z Champigneulles osobowy. Rapid 1508 przegnał go w Toul. Gdyby wypadek nastąpił w samem Champigneulles, lub po drodze do Toul, rodzina byłaby już powiadomioną. W najgorszym wypadku, dziewczyna uciekła z domu rodzicielskiego. Maszynista odetchnął.

— Znajdzie się twoja marnotrawna córeczka, znajdzie — mruknął. — Zaraz idę na policję. Zachciało jej się być gwiazdą filmową...

Minął tydzień i policja francuska stanęła wobec dwóch zagadek. Jedną było tajemnicze zniknięcie Żermeny Mathieu. Drugą tajemnicza krew na buforze parowozu pociągu 1508.

Stwierdzono wprawdzie, że panna wsiadła do pociągu osobowego w Champigneulles, ale nie udało się dojść, dokąd wzięła bilet. Z dworca odjechało tym pociągiem około setki podróżnych. Z tego przeszło dwudziestu poza Toul. Urzędniczka w kasie nie oglądała twarzy pasażerów. To też dalej ślad dziewczyny ginął.

Z drugiej strony, dokładne poszukiwania na całym szlaku między Nancy i Paryżem nie dały najmniejszego rezultatu. Nigdzie ofiary przejechania.

— Truposz się nie ulotnił, — pienił się inspektor brygady ruchomej, Petit. — Musi gdzieś być. Nie umiecie szukać.

— Ależ, panie inspektorze, szukaliśmy dokładnie. Zresztą już dwukrotnie padał deszcz, to i ślady krwi, jeśli gdzie były, zmyło. Ostatni meldunek o zaginionej kobiecie jest właśnie z Nancy.

— Więc sądzicie, że to ta mała Mathieu?

— Bez wątpienia. Popsztykała się z rodzicami i rzuciła się pod pociąg...

— No, a ciało?

— Panie inspektorze, mogła wysiąść w Liverdun i pójść na mosty. Jest ich coś z pięć. Z tego tylko jeden z barjerą. Rzuciła się pod rapid 1508 właśnie na ktoryms z nich. Już sam pęd zmiótł ją do wody...

— Trzeba było szukać w rzece.

— Szukaliśmy żerdziami. Niema. Albo się zaplątała gdzie na dnie, albo popłynęła. Mozella wezbrana, jak djabli. Prąd silny. Szukać trudno. Znajdzie się, ale za kilka tygodni. In nego wyjścia niema.

Nazajutrz gazety paryskie ukazały się z wielkim tytułem na pierwszej stronie: „Tajemnica krwi na buforze rozwiązana. Ofiarą rapidu 1508 padła rodzona córka maszynisty pociągu 1508, Żermena Mathieu".

A wieczorem samochód sanitarny zatrzymał się przed małym domkiem na przedmieściu Nancy i odwiózł do szpitala uległego atakowi nerwowemu maszynistę.

Ojciec Mathieu leżał na białem szpitalnem łóżku, nieczuły na wszystko. Częściowo sparaliżowany, wodził błędnym wzrokiem po suficie i od czasu do czasu wołał swej Żermenki. Nie ocknął się nawet na wiadomość, że z Mozelli, gdzieś za Pont a Mousson, wyciągnięto ciało topielicy w stanie zupełnego rozkładu. Nie ocknął się, gdy mu żona o szczegółach smutnego pogrzebu z płaczem opowiadała. Nie ocknął się, gdy sam szef oddziału eksploatacyjnego przyszedł mu złożyć kondolencje. Lekarze, zależnie od usposobienia, kiwali nad nim głową lub wzruszali ramionami. Kto zna lekarzy, ten wie, co to znaczy.

A tymczasem w trzy dni po smutnej ceremonji zjawił się przed inspektorem Petit gruby czerwony wachmistrz żandarmerji. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła, nastroszył służbiście wąsy i zameldował:

— Subsequamment, inspektorze, zaszła pomyłka. Topielica, wyłowiona z Mozelli, nie jest Żermeną Mathieu, a jest Yvonną Leclerc.

— Co to ma znaczyć?

— Panowie z brygady lotnej pomylili się. Jestem szefem—wachmistrzem z Dielouard — miasteczka rodzinnego Yvonny Leclerc. Znałem ją osobiście. Utopiła się sześć tygodni temu z rozpaczy po jakimś robotniku, który ją porzucił. Szukaliśmy oddawna — ale dopiero teraz rzeka oddała ciało. Może odda i tamto.

— Dlaczegoście odrazu nie meldowali?

— Bo tamci panowie gniewali się i mówili, że topielica i tak poznać nie można. Więc niech lepiej będzie Żermena Mathieu, bo ta potrzebniejsza.

— A skąd wiecie, że to Yvonna? Przecież matka Mathieu była na pogrzebie. Poznała chyba córkę po ubraniu.

— Gdzie tam, panie inspektorze. Stara była nawpół zwarjowana, a żeby poznać kieckę, co leżała sześć tygodni w rzece, trzeba być specjalistą takim, jak ja.

I wachmistrz dumnie podkręcił wąsa.

Inspektor zamyślił się: — Co teraz będzie? Żeby wachmistrz był, jak mówi piosenka, „*bon enfant*", możnaby całą rzecz utaić. Ale ta bestja z pewnością wszystko wygada. Wielką jest animozja urzędników bezpieczeństwa, ubranych w mundury, do tychże urzędników, ubranych po cywilnemu.

— Niema rady. Trzeba szukać dalej. Dziękuję wam, wachmistrzu. Ale nie róbmy z tego afery. Pisma rozgłoszą i wyjdzie nieprzyjemność. Niech sprawa przyjmie obrót służbowy. Napiszcie raport.

— Dobrze, panie inspektorze.

Ojciec Mathieu, wbrew przepowiedniom lekarzy, powoli przychodził do zdrowia. Gdy przyszła wiosna, wysiadywał chętnie w ogródku szpitalnym, grzejąc się na słońcu. Żona odwiedzała go codziennie i z niecierpliwością czekała momentu, kiedy „jej człowiek" będzie mógł powrócić pod dach rodzinny.

Aż tu któregoś dnia listonosz przyniósł list. Był cienki, w ordynarnej, zniszczonej kopercie. Marki i stemple dziwne, cudzoziemskie.

Pani Mathieu nie była nigdy mocną w lekturze. Nie spodziewała się też żadnych ciekawych wiadomości. List więc zaniosła mężowi.

Maszynista odpieczętował go obojętnie, uderzył dłonią po wierzchu i naraz zbladł, poczerwieniał i... osunął się na ziemię. Przywołany zanitarjusz ledwo zdołał go docucić. A wtedy stary zamamrotał:

— *La matine*, takiego piwa nawarzyć własnym rodzicom...

List, w którym było trzy wiersze i piętnaście ortograficznych błędów, brzmiał:

„Kochani rodzice! Jestem w Hollywood, dokąd uciekłam od was z Karolem. Obiecano mi *emploi* gwiazdy, tymczasem jednak straciłam *engagement*. Mam już dosyć tych yankesów. Chciałabym do was wrócić. Ale nie mam pieniędzy. Przyślijcie mi na podróż. Wasza kochająca Żermena".

Zanim Żermena Mathieu wróciła z Ameryki, ludzie inspektora Petit wykazali jeszcze wiele dobrych chęci, znajdując ją dwukrotnie: raz na dnie Mozelli, opodal Pagny, drugi raz powyżej Liverdun. Nic dziwnego: kobiety są tak uparte, nawet jako nieboszczki pod prąd płynąć mogą. Dobrze chociaż, że dolny Ren leży poza granicami Francji...

Tegoż lata dróżnik obchodowy na odcinku Meaux—Esbly, spostrzegł tuż obok tarczy ostrzegawczej semaforu, dziki krzak kaliny. Gałęzie, pnąc się po zboczu, sięgały toru. Właśnie przebiegał pociąg towarowy i wielkie czerwone jagody pryskały o żelazne ściany węglarek.

— W zeszłym roku nie był taki duży i nie kwitł tak pięknie, — mruknął dróżnik. — Trzeba go ściąć, bo gotów kogo zranić...

I służbową motyką podważył korzenie kraśnego krzaka.

Daremnie biedził się inspektor Petit nad rozwiązaniem tajemnicy, skąd wzięła się krew na lewym buforze parowozu kurjera 1508, w dniu 11 czerwca 1928 roku.

MIECZ. SZCZĘSNY.

POLITYK

HUMORESKA.

Pan Mateusz był naogół statecznym obywatelem. Miał kilka sezonowych zajęć, które uprawiał z równem zamiłowaniem. Na jesieni był zdunem, zimą — stolarzem w drugorzędnym warsztacie, wiosną sprzedawał laski. Ot, poprostu, sprzedawał na ulicach laski. Gdy mowa o demokratycznych laskach, warto wspomnieć, że pan Mateusz w zasadzie nie zajmował się polityką, poprostu dlatego, że się na niej wcale nie wyznawał. Mimo to jednak, w swoim małym światku przyjaciół i kompanów uchodził za znawcę stosunków politycznych i wogóle. Przecież i piece reperował w domach inteligentnych ludzi i laski sprzedawał na „pryncypalnych" ulicach. Nie bez tego, że tu, lub tam usłyszał jakąś nowinę, zdanie, wyrażenie. Połykał to, jak ryba wodę i nasiąkł taką ilością różnych myśli, że nie mogąc ich powiązać i uporządkować, a już najmniej zrozumieć, dławił się wprost niemi i często popadał w długotrwałe milczenie.

W knajpce, w której często przesiadywał, każdorazowe przybycie pana Mateusza oznaczało początek dyskusji politycznej. Pan Mateusz, jak to się już rzekło, nie wiele rozumiejąc z tego, co mówi, rzucał zazwyczaj kilka tajemniczych słów, w rodzaju: „rząd, opozycja, cekawiści, sanacja", a rozmowa już toczyła się wartkim potokiem. Kończyło się zawsze na tem, że ktoś na kogoś się obraził i, nie dopiwszy swojego piwa, w mniej lub więcej udanej wściekłości (częstokroć więcej, gdyż kompani również uprawiali politykę „dla fasonu"), wychodził z knajpy, złowieszczo trzaskając drzwiami. Spór zawsze rozstrzygał pan Mateusz, jak go nazywano „słodki polityk", (nazwisko jego brzmiało z mazurska: Mączka) druzgocącym argumentem: „konglomerat".

Gdzie zasłyszał to słowo i co oznaczało, żaden z nich nie wiedział. Dość, że działało do tego stopnia, że najbardziej zacietrzewiony rozmówca, usłyszawszy to magiczne słówko, musiał dać za wygraną.

Pewnej, dość pochmurnej niedzieli, pan Mateusz Mączka wyszedł z domu, obładowany paczką lasek.

— Co jest, panie Mateusz — zagadnął go sąsiad. — Dokąd-że dziś z letnim towarem? Przecież i jesień, i pogoda psia. Kto dziś laski będzie kupował?

— Znajdą się tacy — tajemniczo odpowiedział pan Mateusz. — Nie wie pan, że to dziś jest wiec? Będzie draka napewno. Konglomerat!... Zapraszam wieczorem na jedną większą, na dwie, trzy... Będzie ruch w interesie — dokończył z niezbitą pewnością i z wysoka spojrzał na sąsiada, jakby chciał powiedzieć: „ja umiem zawsze wyczuwać sytuację".

Stanął na progu jednej z pobliskich wiecowi ulic i zaczął wychwalać swój towar:

— Laski, laski, do lasek, trzcinowe, mocne, giętkie.

Wiecowicze zaczęli się schodzić, zrazu pojedyńczo, potem grupkami. Szli cicho, w zamyśleniu, nie śpiesząc się, jakby na spacer. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nikt nie interesował się towarem pana Mateusza.

Mijał czas, fala napływających już ustała, widocznie już się rozpoczął wiec; a pan Mateusz nie sprzedał ani jednej laski.

— Później dopiero się zacznie — pocieszał samego siebie.

Ale gdy po skończonym wiecu pierwsza fala ludzi przepłynęła koło niego i znów nikt nawet nie spojrzał na jego towar — pana Mateusza ogarnęła złość.

— Co, nie będzie draki? Nie sprzedam nic, psiamać. Cholera — nie wiec! To ma być polityka! Gdzie walka klas?

I w jednej chwili, zamiast swojego monotonnego: „do lasek, do lasek", rozpoczął przemawiać donośnym głosem:

— Obywatele, rodacy, towarzysze! Już czas z tem skończyć! Burżuazja gnębi kraj! Jedności w narodzie niema! Bić ich! Komuniści idą ręka w rękę z cekawistami! Bić, bić! Pepesiaki chcą stworzyć blok z sanacją. Precz! Precz! Bić ich! Niemcy chcą nam odebrać Śląsk! Nie damy, bić ich, kto czem może, pięściami, kijami, laskami. Do lasek, do lasek! Konglomerat!... Precz! Niech żyje centrolew! Bić ich! Kupujcie...

Reszty nie dokończył. Kilkadziesiąt pięści spadło mu naraz na głowę. Powstało zamieszanie, tumult, „towar" gdzieś zniknął.

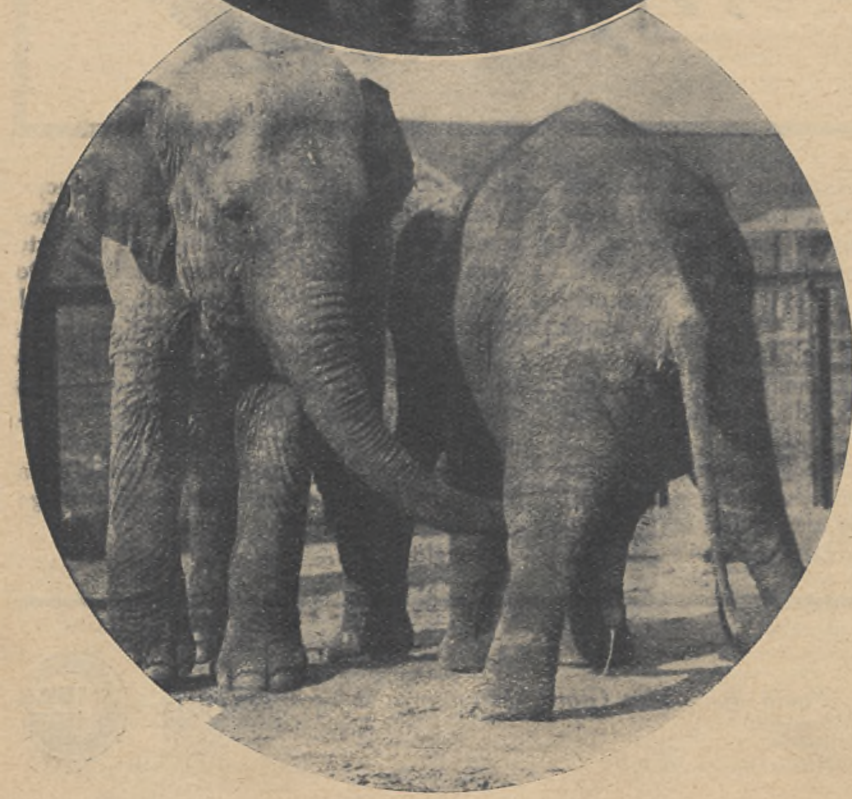
Ocknął się na twardej pryczy.

Wieczorem w knajpie, kompani pana Mateusza niepotrzebnie oczekiwali swojego „słodkiego polityka".

Konglomerat!...







ZYGMUNT KAWECKI.

W NASZEM „ZOO”

(DJALOGI Z ZWIERZĘTAMI.)

(Zdjęcia z Warszawskiego Ogrodu Zoologicznego wykonał fot. Kisieliński.)

Od samego urodzenia miałem dużo wspólnego ze zwierzętami, to znaczy — że przestawałem zachłannie z wszelkiem zwierzątkiem latającem, biegającem i pełzającem — a ponadto w naturze mej dziecinnej, czyli w sobie — odczuwałem dużo animalnej prostoty i apodyktyczności.

Dopiero później, kiedy do głowy mej zaczęto pakować bibliotekę — oddaliłem się co nieco od chrząszczy, nietoperzów, wiewiórek, sów, lisów, borsuków, saren, czapli i innych formalnych zwierzaków — a zbliżyłem się do oficjalnego świata ludzkiego ,do rówieśnych mi chłopaków, którzy powyuczali mnie różnych sztuk, figlów, paskudstw i t. p.

Wszystko, co została we mnie prostego i przyjemnego, (zarówno dla drugich, jak i dla mnie samego) — zawdzięczam memu pierwszemu towarzystwu zwierząt, zwierzątek, owadów, roślin, a nawet minerałów.

Boże drogi — niczego w życiu nie żałowałem — niczego w życiu, nie chciałbym przeżywać po raz drugi, od początku — ale zawsze robi mi się tęskno i mgławo — kiedy zanurzę się w przypadkowem wspomnieniu moich dziecinnych przyjaciół - ptaszków, przyjaciół - zwierzaków, przyjaciół - roślin — i milczących kompanów-minerałów.

Stanowczo zadużo żyjemy z ludźmi. Zwłaszcza w wielkich miastach nadmiar towarzystwa ludzkiego jest tak dotkliwy i męczący, że jesteśmy jakby duszeni, zamrowieni, zatłumieni autropizmem.

Niemogąc dojść i wrócić do łąk, rzek, powietrza, lasów, zwierząt i *przestrzeni* — my, zurbanizowane karaluchy człowiecze szukamy podniet w nałogach, w surogatach życia, w oszołomieniach, lub w sportach, doprowadzanych do absurdum.

*

Zakładanie ogrodów zoologicznych po wielkich miastach — nie jest żadną koncesją, albo łaską okazywaną światu zwierząt zwierzęcych przez świat zwierząt człowieczych. To jest raczej pochlebianie nieskażonym siłom przyrody, wyobrażonym w formach zoologicznych — to rewerans, złożony przez społecznie sformowaną gromadę ludzką — tajemniczemu wyobrazicielowi sił przyrody.

Jakiż to kontrast, gdy spojrzymy na człowieczka miejskiego, ubranego hierarchicznie, albo kapitalistycznie, nadzianego teorjami i filozofjami — i stojącego z bojaźliwym respektem przed klatką wspaniałego zwierzęcia, okradzionego z wolności. Czy człowieczek zaspakaja wtedy swoją ciekawość — czy też zastanawia się, z jakiego rezerwuaru przyszły te siły, które jego uczyniły człowiekiem, a zwierzę w klatce okazem pojmanym przemocą lub podstępem? Czy parantela obserwatora i obserwowanego nie nasuwa pewnych, niespokojnych przypuszczeń na temat kultury, prowadzącej do dzikości społeczno - politycznej—i wolnej dzikości zwierzęcia, dającej zwierzęciu hieratyczny spokój, powagę i określoność?

W ostatnich czasach zaczęto jednakże zwierzęta nietylko obserwować i studjować — ale... podpatrywać — i to w celu zantropomorfizowania etyki i obyczajowości zwierzęcej. Poprostu zaczęto podglądać zwierzęta, aby o nich plotkować. Szczególniej miłe jest rodzajowi ludzkiemu wyłapywanie faktów, które przypominając człowieczość w świecie zwierząt, tym razem stanowią kurjoza, przemawiające na niekorzyść zoologicznego towarzystwa?

Przecież najmądrzejsze narody świata oddawały zwierzętom cześć boską? A tu pokazuje się, że nie wszystko znowu w tej wzorowej familji bestyj jest tak murowane, jakby się nam wydawało.

Czy to, co się wśród niej dzieje obecnie, działo się i dawniej, tylko niezauważone — czy też dzieje się dopiero teraz, jako dziwne transfuzje obyczajności świata ludzkiego w dobie powojennej, w dobie walki z Bogiem i z dobrami przedwojennej cywilizacji?

Zoolodzy, wartownicy ogrodów zwierzęcych, uczestnicy wypraw w głąb mało znanych ostępów tropikalnych — a wreszcie amatorzy zwierząt, względnie ich kolekcjonerzy — mówią, a nawet drukują czarne na białem, że wśród obecnych zwierząt zanotowano i stwierdzono dużo uczłowieczenia.

I tak: zauważono, że istnieją wśród zwierząt nienaturalne związki miłosne — bądźto platoniczne, bądź nie na żarty — i to pomiędzy zwierzętami nie należącemi do tych samych rodzin — a więc związki zoo - sodomiczne — dalej, że zwierzęta używają pudru, szminek i pewnego rodzaju masek, dalej, że zwierzęta okazują się idjotami, tak dobrze jak ludzie — dalej, że owady mają zamiłowanie do trunków upajających, zupełnie jak warszawiacy w niedzielę i w resztę dni tygodnia — dalej, że są między zwierzętami typy nieznośne, stetryczałe, hipochondryczne, wiecznie ze wszystkiego niezadowolone i złe.

To chyba wystarczy na razie na czarną listę przywar i grzechów zoologiczno - człowieczych?

Nienaturalne zachcianki miłosne, o których pisze Dr. Heck w jednym z „*magazynów*“ niemieckich — zdarzyły się, pod jego obserwacją — pomiędzy strusiem (samcem) — a żyrafą (samicą) — oraz pomiędzy papugą a kurą sułtańską. (Nie ręczę, czy ta zdrożna kura ma to samo nazwanie oficjalne w polskiej historji naturalnej).

Otóż związek pierwszy (struś — żyrafa) był czysto platonicznym — a mimo to skończył się dla strusia nieprzyjemnie. Związek ten objawiał się w ten sposób, że był on całkowicie jednostronnym — (a więc miłość bez wzajemności). Struś łaził bezustannie i uporczywie za żyrafą — i nieodstawał od niej ani na krok. Wreszcie żyraficy było tego dość. Pewnego dnia, chcąc się od jego molestacji platonicznej uwolnić, kopnęła go tak silnie, że przetrąciła mu nogę. Struś okulał. Ale i to nic nie pomogło. Wyleczony kaleka łaził dalej za swym żyrafim ideałem, powłócząc zmarnowanego przez nią kikuta.

Natomiast związek drugi — (papuga — kura) — był już zupełnie de grubis. Polegał on na tem, że upierzenie pięknych tych ptaków, stanowiło obustronnie tak wielką przynętę — iż nie mogły się one powstrzymać od aktu miłosnego, mimo różnicy rodzin. Zaczynała atoli pierwsza — kura. (Naturalnie, samica!). Przybierała tak zagrzewającą i niedwuznaczną pozę, że papuga (samiec) — nie miał innej drogi wyjścia, jak kolorowo - pierzastą tę uwodzicielkę, traktować jako swą samiczkę.

Fakty pudrowania skrzydeł zauważono u ptaka *kagu* w londyńskim ogrodzie zoologicznym. Oczywiście ptaszek ów nie chodził do składu aptecznego po ten specyfik — tylko wytwarzał sam, swem upierzeniem, całe chmury pudrowe.

Fakt pijaństwa zaszedł u wzorowej *mrówki*, do której po naukę i cnotę, odsyłają wszystkich leniwców. Mrówki mianowicie pielęgnują specjalny rodzaj chrząszczyka, który na swym korpusie posiada kępki owłosienia, dającego właśnie owo tak pożądane dla mrówek oszołomienie pijackie. Chrząszczyki te, dostawszy alkoholicznych wzruszeń są mrówkom tak drogie, że w razie ataku jakichś nieprzyjaciół na mrowisko — mrówki ratują przedewszystkiem te alkoholonośne chrząszczyki — nie dbając nawet o swe młode.

*

Dyalogi w Zoo.

Lew i ja. (Lew w klatce, ja jeszcze nie). Ja. Przepraszam bardzo. Wasz lwi majestat — ale interesuje mnie ogromnie, czy polityka też już dotarła do pustyni i puszczy. Czy Szanowne Stworzenie, mianowicie, uważa się jeszcze ciągle za *króla* stworzeń zwierzęcych, czy też wolałoby, aby Je tytułować demokratycznie — *prezydentem* zwierząt?

Lew. Tu, w warszawskim ogrodzie zoologicznym wystarczy mi zupełnie, jeśli mi oddacie pół mego honoru — i pół mego majestatu. Zadowolę się zupełnie, gdy mnie będziecie tytułować — *półkownikiem.*

*

Tygrys i ja (sytuacja jak wyżej).

Ja. Czy to prawda, że Szanowna pręgowana Osoba Tygryśna, rzuca się na ofiary, nawet nie będąc głodna—ani nie mając apetytu?

Tygrys. Proszę nie mówić do mnie, w Warszawie „Osobo“ — tylko „Urzędzie“!

Ja. (Milczę i mimowoli chwytam za kieszonkę, w której noszę protesty, „monity“ — i „nakazy płatnicze“.).

Tygrys (warczy).

Ja. Dlaczego Wysoki Urząd Skarbowy taki zachrypnięty?

Tygrys. (ryczy, aby pokazać, że zdrów).

Ja (padam przed nim na kolana — i wskazując na łono, pokazuję na wnętrzności, jako na ostatni mój, jeszcze nie skomornikowany majątek).

*

Małpa i ja. (Sytuacja jak wyżej).

Dyalog ten nie dochodzi jednak do skutku — gdyż małpa odwróciła się do mnie kontra - figurą, dając mi tem do zrozumienia, że chcąc rozmawiać z małpami, powinienem wrócić tam, skąd przyszedłem.

Powstaje teraz kwestja, jak od tej pory nazywać małpy.







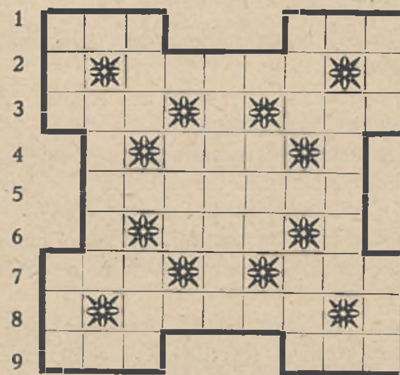
Aktualne uwagi o włosach

Omawiając wpływ słońca na włosy, uwzględnić należy odrębne jego działanie na włosy, tudzież na skórę głowy, w której usadowione są korzonki włosów. Na **w ł o s y** działają promienie słońca z reguły ujemnie. Płowienie, przedwczesna siwizna, łamliwość, oto następstwa naświetlania słońcem. Wpływ zaś słońca na **s k ó r ę g ł o w y** może być niszczący lub zbawienny, zależnie od prawidłowego stanu, względnie chorobowego skóry. Do schorzeń zaliczyć należy minimalne nawet zmiany łojotokowe, w postaci łupieżu lub tłustej miazgi. Skóra taka, zadrażniona kwasami tłuszczowemi, ulega zgubnym dla korzonków zmianom zapalnym, jeśli bywa naświetlana. Przekrwienie zaś słońcem zdrowej skóry działa nawet zagęszczająco. O tem pamiętać powinni mężczyźni, którzy strzygą w lecie włosy. Przerzedzone włosy zagęszczają się, jeśli po wyleczeniu schorzeń, udostępni się strzyżeniem naświetlanie skóry słońcem. Kto nie może zasięgnąć porady u lekarza—specjalisty, niechaj zobojętnia na kwasy tłuszczowe dwukrotnem myciem tygodniowo Shampoonem Dra Lustra, strzyże włosy krótko, a skórę naświetla słońcem. Ponieważ w lecie łatwo jełczeje tłuszcz na głowie, powinny kobiety myć często tym lekarskim preparatem głowę, celem zapobieżenia marnieniu włosów.

Dr. Z. B.

Rozrywki umysłowe

KRZYŻÓWKA MAGICZNA



Znaczenie słów:

1a—A1; Miasto w Jugosławji
1g—A7; Miara wagi
2c—B3; Zagłębienie w ścianie
3a—C1; Kleszczojad
3g—C7; Rzeka w Rosji
4d—D4; Papuga
5b—E2; Bożek egipski
6d—F4; Wulkan na Mindanao (Filipiny)
7a—G1; Miasto we Francji
7g—G7; Kapłan Zoroastra, astrolog
8c—H3; Wielka beczka na piwo
9a—I 1; Choroba
9g—I 7; Łódź okrętowa.

NAGRODY

Za rozwiązanie krzyżówki z niniejszego numeru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w wysokości

25 złotych

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dnia 7 października b. r.

NAGRODY.

W wyniku losowania za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z Nr. 35 otrzymają nagrody:
Zł. 25 — Wacław Klatt, Nowogrodzka 21.
Książki: Kazimierz Zielonka, Kalisz, Staszica 16 i W. Zacharewicz, Słonim, Sąd powiatowy.

Impresje teatralne

TEATR NARODOWY: „Głupi Jakób“, Tadeusza Rittnera. — TEATR POLSKI: „Kawaler - papa“, Edwarda Childs Carpentera. — KOMEDJA MUZYCZNA: „Izabella“, R. Gilberta (syna). — ANANAS: „Babie lato“.



Heinrich z „Uśmiechu Warszawy“



Halicz z „Uśmiechu Warszawy“.

Już po kanikule teatralnej. Inauguracja sezonu w całej pełni. I choć teatr Narodowy daje sztukę, dość już w Warszawie ograną, ale chętniej widywaną, niż poprzednie „nowości“. Zwłaszcza, gdy w niej Szambelana gra Mieczysław Frenkiel. Przy tym ogromie talentu nikną wprost zupełnie inne postacie tej sztuki. Teatromani mają interesujące pole do porównań między grą w tejże sztuce niegdyś: Kamińskiego, Jaracza i Brydzińskiej, a obecnie Frenkla, Warneckiego i Gorczyńskiej. Toczyły się na ten temat gorące dyskusje podczas antraktów premjerowych. Przy całem uznaniu dla poprzednie obsady, trzeba przyznać, że i obecna jest arcyznakomita, i że godnie ją uzupełniają: Broniszówna, Justjan, Horwathowa, Skarzyński i para utalentowanej młodzieży: Zawadzka i Ziejewski. Na gorące uznanie zasługuje reżyserja Józefa Śliwickiego — ponad wszelkie pochwały.

Następne sprawozdanie premjerowe z teatru Polskiego nieprędko się ukaże. „Kawaler-papa“ będzie szedł, szedł i szedł, a publiczność będzie nań szła, szła i szła długie tygodnie. Temat niebanalny, dowcipnie ujęty, wystawa piękna, a gra... już poprostu braknie superlatywów... Junosza-Stępowski jest wprost genjalny w jubilerskiem cyzelowaniu szczegółików, Romanówna robi jeszcze jeden wielki krok naprzód, stając zdecydowanie w czołowym szeregu artystek polskich, już lada dzień można będzie do nich zaliczyć i Lubieńską, bezspornie najzdolniejsza dziś z stołecznej młodzieży teatralnej i zasługującą na najpoważniejsze traktowanie, Wesołowski zbiera zasłużone oklaski przy otwartej kurtynie, sekundują im dzielnie: Sulima, Maliszewski, Małkowski i... primadonna operowa Mokrzycka, śpiewająca prześliczne arje... Publiczność jest oczarowana i entuzjazmuje się, jak rzadko...

Przybył nam nowy teatr: „Komedja muzyczna“, poświęcony... komedjom muzycznym. Pokazano nam jedną z nich „Izabellę“ w nadspodziewanie gustownej szacie. Nic dziwnego, zresztą, skoro projektował ją Kamil Mackiewicz. W obsadzie — tak pięknie wschodząca gwiazdka, jak Orska, promieniejąca olśniewającą urodą i wiośnianym wdziękiem (teatry rewjowe powinny się o nią licytować), bardzo utalentowany młody amant Suchcicki, dobry Sulima - Jaszczolt, następnie Kamińska, Wołowski, no i sam dyr. Sempoliński, który całość pięknie zorganizował i wyreżyserował. Jego rzetelne wysiłki będą, miejmy nadzieję, należycie ocenione i poparte.

Benjaminek stolicy „Ananas“ z wielkiem powodzeniem zainaugurował sezon zimowy w sali, z której Józef Hollak zrobił cud — bombonjerkę. Codziennie nadkomplety... Nic dziwnego: rewja jest rekordowo dowcipna i obfitująca w mnóstwo sensacji. Zaliczyć do nich wypada przedewszystkiem arcypomysłowe modernizacje znanych utworów literackich, porywającą „Szkarłatną wiosnę“ niezrównanej Hanki Runowieckiej do pięknej muzyki Białostockiego, ujmującą konferansjerkę czarującego maharadży Behari Lal Matura, poważnie „zagrażającego“ Jarosy'emu, nieodparty czar Niemirzanki, pląsy Korczyńskiej zachwycający urok Sozonowiczówny, soczysty komizm Skwierczyńskiej, Belskiego, Borońskiego, Welina (bardzo cenny nabytek) Leńskiego, Rewskiego, Krotulskiego, wreszcie sprawne i składne tańce „Ananasiątek“, uzupełnionych utalentowaną i obdarzoną rozkosznym wdziękiem, b. artystką teatru Wielkiego Gollówną. Układ baletmistrza Śnieżyńskiego — świetny. Dyr. Jastrzębcowi — najserdeczniejsze gratulacje...



Frenkiel i Skarzyński w „Głupim Jakóbie“. (fot. Malarski.)

Henryk Liński.

PIERRE MAC ORLAN.



Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

I.

Przed przystankiem na ulicy Billancourt wyskoczył z tramwaju jakiś człowiek. Słońce rzucało wesołe promienie na gromadkę Arabów, którzy wychodzili z piekarni z pełnemi kieszeniami gorących rogalików. Człowiek spojrzał machinalnie na zegarek. Potem cofnął się i skierował w stronę mostu Auteuil. Minąwszy bulwar Exelmans, skręcił na lewo w małą cichą uliczkę. Po kilku krokach stanął, wciągnął powietrze rozszerzonemi nozdrzami jak dzik, który rozpoznaje pierwsze oznaki naganki. Poszedł dalej i zatrzymał się przed osobliwym małym domkiem, pomalowanym na żółto i niebiesko, nad którego prawą stroną górowało stare suche drzewo, oplecione dzikiem winem. Człowiek przyglądał się domkowi z zainteresowaniem. Zbliżył się, aby przeczytać napół zatarte litery, które nadawały pewien oficjalny charakter małemu sklepikowi, przypominającemu kiermasze, urządzane przez marynarzy. Na froncie nad wejściem przeczytał napis: „*Bal motyli*". Nie namyślając się długo, popchnął uchylone drzwi i wszedł ostrożnie do środka, rozglądając się na prawo i lewo po lokalu, stanowiącym miejsce rozrywek ludowych. Usiadł przy jednym ze stolików dosyć obszernej sali. Za bufetem młody chłopiec z zapuchniętemi oczami mył szklanki. Przy innych stolikach siedziało dwóch gości; nikt nie rozmawiał.

Nowoprzybyły ochrypłym głosem zamówił szklankę białego wina, którą kelner podał mu bez słowa.

Trzej goście przyglądali się sobie z ukosa. Jeden z nich, w wieku lat czterdziestu, wyglądał na urzędnika. Mały nos, ruchliwy podbródek i czerwone, chore oczki nadawały mu pewne podobieństwo do szczura. Miał na sobie jasne ubranie, a na głowie zniszczony melonik. W drugim kącie sali tuż przy bufecie siedział gość z dużemi czarnemi wąsami. Bezwątpienia należał do klasy tych ludzi ubogich, którym nie brak pewnej ogłady. Wyraźnie czerwony nos zdradzał pochodzenie wszystkich plam na ubraniu, jak również nędzny i nienormalny tryb jego życia. Zdawało się, że czuł się doskonale w tej podrzędnej kawiarence. Przyglądał się nowoprzybyłemu, który usiadł koło drzwi wejściowych. Jego wilgotne oczy błyszczały sztuczną tkliwością. Nowoprzybyły ulokował się przy otwartych ciągle drzwiach wejściowych i popijał małemi łykami białe wino. Był najmłodszym z trzech gości. Wyglądał na trzydzieści lat. Czarne, nieskazitelnie ułożone włosy nadawały mu pospolity wygląd, właściwy wszystkim młodzieńcom o typie czysto łacińskim, którzy odwiedzają rozrywkowe lokale, aby zaczerpać stąd wszystkich przyjemności. Wyczuwało się odrazu, że jego nieśmiałość była tylko pozorna, była odblaskiem młodości, przedłużanej sztucznemi sposobami.

Pierwszy przerwał milczenie nieznajomy z czarnemi wąsami.

— Czy dużo ludzi tu przychodzi?

— To zależy — odparł kelner — różnie bywa.

— Dobre jest wasze białe wino.

Człowiek z wąsami pochylił się, aby zobaczyć przez małe okienko godzinę na zegarze .

— Macie, stoi! — zawołał kelner. — Świnia! Chodzi, jak mu się podoba .Mówić tu o porządnym budziku! Staje, kiedy chce. Tylko mu się sprzeciwiać. Za chwilę, jeśli go się nie ruszy, znów zacznie pędzić. Odrobi swoje.

Człowiek z wąsami roześmiał się. Wypił wino, poczem wytarł wąsy, zamoczone w szklance.

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i weszło dwóch ludzi

W podskokach uprzejmości ustępowali sobie pierwszeństwa przy drzwiach. Jeden z nich zdjął kapelusz i kręcił głową na prawo i lewo jak ptak. Po chwili wahania odwrócił się na pięcie i wyszedł szybko na ulicę. Drugi wygodnie rozsiadł się przy bufecie z niemałą dystynkcją.

— Te, mały! — zwrócił się do kelnera, który zmierzał do sąsiedniej sali. — Nie zmykaj tak prędko! Dla mnie białego wina, tylko w dużej szklance!

Ostatni przybyły zachowywał się jak u siebie w domu. Był to tęgi robotnik, rubaszny, czerwony jak burak, jeden z tych, którzy potrafią wszystko zrobić: zatkać beznadziejnie wodociąg i zepsuć doszczętnie aparat radjowy. Przycięte wąsy „à la Chaplin" nadawały mu tanim kosztem zabawny wygląd.

— Te, mały, czy nikt o mnie nie pytał?

Przy tem pozornie niewinnem pytaniu trzy pozostałe osoby, siedzące w knajpce podniosły głowy z pewnym przestrachem. Elegancki młodzieniec wyjął papierosa i zapalił.

— Słuchaj stary, idę na spacer nad Sekwanę, jeśli ktoś się spyta o Ludwika, powiedz, że Ludwik będzie za mały kwadransik.

Dotknął czapki gestem wątpliwej grzeczności i zmierzał ku wyjściu.

— Panie — zwrócił się do kelnera gość podobny do szczura — czy może mi pan dać pewne wyjaśnienia?

— Jeżeli tylko coś będę wiedział — odparł chłopiec.

— Chciałbym dokładnie wiedzieć, która jest teraz godzina.

— Pójdę zobaczyć, bo na ten niema co liczyć — rzekł kelner, spoglądając na wiszący zegar. — Dziś już się nie ruszy. To też jest ziółko.

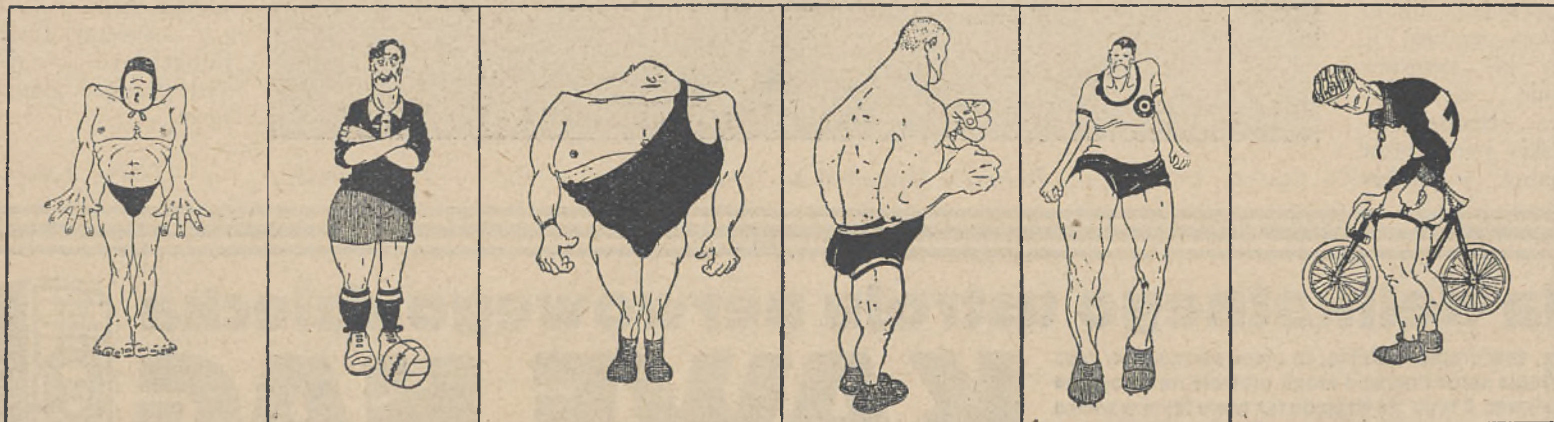
— Mogę panu dać dokładne informacje — wtrącił elegancki młodzieniec, patrząc na zegarek. — Jest godzina dziesiąta.

— Tak, dziesięć minut po dziesiątej — potwierdził człowiek z dużemi wąsami. — Dziesiąta minut dziesięć dokładnie. Mój zegarek chodzi według zegara na dworcu Północnym.

— Dziękuję panom.

Ukłonił się z wdziękiem w kierunku jed-

Sport i jego skutki



Pływak — *footbalista* — *zapaśnik* — *bokser* — *sprinter* — *kolarz*

(Der Goetz. Berlin)

nego i drugiego, potem zamówił szklankę wina.

Nagle otworzyły się drzwi z hałasem. Ukazała się w nich młoda kobieta dosyć wysoka, ubrana w granatowy kostjum i mały kapelusz, z pod którego wysuwały się dwa jasnoblond loki. Rozejrzała się spokojnie po sali i usiadła obok stolika, który zajmował elegancki młodzieniec.

Kelner podał jej zamówiony kieliszek porto i wrócił za bufet gdzie, skuliwszy się we dwoje między szklankami i butelkami zaczął czytać z zajęciem gazetę.

— Nie można zaprzeczyć — rzekł, nie podnosząc głowy — że żyjemy w epoce zbrodni. Znów nowy wypadek. Jakaś zamożna wdowa zamordowana przez własne dzieci. Czy możn ich nazwać dziećmi? Dziś niema dzieci. Zwłaszcza u ludzi którzy żyją na ulicy. Skąd to się bierze? Nie potrafię na to odpowiedzieć.

Zamilkł, pochyliwszy głowę.

— Ma pan rację — rzekł jeden z gości z wyraźną satysfakcją — ma pan zupełną rację. Żyjemy, jak piszą gazety pod znakiem morderstwa...

— Uważanem za jedną ze sztuk pięknych — dorzucił żartobliwie człowiek z wąsami.

— Co pan mówi? — spytał pierwszy.

—Och, to wyrażenie literackie — odparł tamten niedbale. — Nie będę twierdził, że jest inaczej. Wystarczą mi w zupełności moje własne wspomnienia, nie potrzebuję pożyczać ich od innych. Zgadzam się w zupełności ze zdaniem, że żyjemy w czasach nienormalnych, kiedy z obojętnością traktuje się krwawą pracę pospólstwa.

— Trochę za silnie z tem pańskiem pospólstwem — rzekł robotnik, który wszedł właśnie w tej chwili — Pospólstwo, jak pan mówi, jest tyle warte, jeśli nie więcej, co wyższe sfery. Nie wolno drażnić nikogo słowami, które, nie będąc złośliwemi, są niesprawiedliwe.

— Ma pan rację — zgodził się człowiek o wyglądzie szczura. — Mówi się, że tak powiem, schematami, które powinny odpowiadać wszystkim obrazom, wszystkim myślom, wszystkim sytuacjom, a które w rzeczywistości nie odpowiadają niczemu.

(C. d. n.).

Paavo Nurmi

W niedzielę cała Warszawa śpieszyła na stadjon „Legji“, gdzie szybkobiegacze nasi Kusociński i Petkiewicz spotykali się z Nurmim.

Porażka Polaków była przesądzona; nikt się nie łudził; a jednak ponad 10 tysięcy osób zapełniło trybuny. Bo wszyscy chcieli zobaczyć Nurmiego. Nazwisko to wystarcza, by poruszyć tłumy.

Nazwisko to znają wszyscy. Można nie wiedzieć, kim jest Mussolini czy Kellog, kim jest Einstein czy Edison; można nawet nie bardzo sobie przypominać, kto to jest Ford i czem się wsławił Fairbanks; wreszcie można uważać Kiepurę za malarza — ale o Nurmim wie się zapewno wiele.

Wie się oczywiście, że to najsłynniejszy biegacz świata, zdobywca mnóstwa niesamowitych rekordów, wielokrotny zwycięzca olimpijski, dzięki któremu sztandar fiński zawisł na maszcie honorowym w Antwerpji, w Paryżu i w Amsterdamie.



Paovo Nurmi, Petkiewicz i Kusociński. (Fot. Sitkowski.)

Wie się, że na przestrzeni 10 lat Nurmi króluje niepodzielnie na bieżniach Europy i Ameryki, że ludzie są za słabi, by z nim walczyć, i że przeciwnikiem jego — może być tylko „czas“.

To wie każdy. Wtajemniczeni, specjaliści wiedzą ponadto, że Nurmi jest milczący i skupiony, że unika towarzystwa, ucieka od fotografów, nie udziela wywiadów i nie uczestniczy na żadnych bankietach, że po skończonym biegu znika natychmiast w szatni, obojętny na oklaski oszalałej z zachwytu publiczności, że niczego tak nie znosi jak reklamy i pozy.

Jeszcze bardziej poinformowani mogą oświadczyć, że Nurmi jest gorącym patrjotą, że wszystkie jego wysiłki, że wszystkie jego zwycięstwa mają na celu — przysporzenie sławy zimnej północnej Ojczyźnie. Że Nurmi gotów nawet przegrać poto, by uwierzono, iż Finlandja posiada jeszcze większych fenomenów, i że tak uczynił na Igrzyskach IX Olimpjady, gdzie pozwolił wysunąć się przed siebie młodszym rodakom...

Wiadomo wreszcie, że wdzięczny kraj wystawił mu za życia pomnik; stoi on w Helsinki i przypomina mieszkańcom, że dzięki wawrzynom wielkiego atlety rząd fiński uzyskał w Ameryce pożyczkę. Że wtedy, gdy martwiono się, iż koncernowi nowojorskiemu niesposób dać odpowiednich, wystarczających gwarancyj — yankesi telegraficznie zawiadomili, iż „gotowi sę udzielić kredytu bez żadnych warunków, gdyż kraj, który potrafi ł wydać Nurmiego, potrafi dotrzymać wszelkich zobowiązań“.

Jak dla tego, co wiedzą profani, tak dla tego, co znają fachowcy — Nurmi przestaje być człowiekiem z krwi i kości, a wyrasta do wyżyn symbolu.

Jest uosobnieniem Ludzkości, dążącej niepowstrzymanie naprzód, kroczącej nieodparcie na drodze postępu. Jest wyrazem żywym wiekowiecznego biegu ku doskonałości, ku coraz to nowym, coraz to niedostępniejszym rekordom. Rekordom mięśni, rekordom woli, rekordom myśli i rekordom piękna.

W. Junosza.

M. ZOSZCZENKO.

Radykalny środek

Dziwny, bardzo dziwny wypadek zdarzył się ostatnio na linji kolei żelaznej Południowo - Wschodniej. Gazety nawet o tem pisały tak, że wszystko jest szczerą prawdą.

Proszę sobie wyobrazić, jedzie po tej linji Południowo-Wschodniej zwykły, miejscowy pociąg pasażerski.

Jedzie jak się należy, bez przeszkód, bez spóźnienia, zgodnie z rozkładem. Pociąg prowadzi stary maszynista, wytrawny pracownik, znający robotę i swoje obowiązki. I konduktorzy, cała brygada, też się jakoś dobrze dobrali, fachowcy, uczciwi. Nawet pasażerowie, i ci trzeźwi, spokojni, nie przeszkadzają nikomu.

Zresztą co do pasażerów kategorycznie twierdzić tego nie można. Djabli wiedzą ostatecznie co to za pasażerowie. Tembardziej, że nie o nich tu mowa.

Tak więc jedzie sobie pasażerski pociąg do stacji Rososz.

Wtem konduktorzy patrzą — coś nie dobrego dzieje się za ostatnim wagonem pociągu. Jakiś szum, trzask, szarpanie i temu podobne.

Patrzą, ludzie kochani i widzą rzecz niebywałą: z tyłu pędzi jakiś pociąg i dogania już ostatnie wagony, a odległość z każdą chwilą się zmniejsza.

Zatrzęsły się im kolana. Przecież to fakt niespotykany na całym świecie — jeden pociąg goni drugi.

Rzuciła się cała brygada konduktorska do lokomotywy. Krzyczą na maszynistę — pędź, bracie drogi co sił, bo ten tylny maszynista zaraz nas w ogon trzepnie i będzie katastrofa mimo wszelkich zakazów i nakazów sowietu.

Maszynista spojrzał za siebie żachnął się tylko, ale głowy nie stracił, pary dodał i ruszył całym pędem.

I tu, rzec można, rozpoczęły się fantastyczne wyścigi. Pierwszy pociąg pędzi, a drugi w ślad za nim. Nawet gwiżdże — ot zaraz cię dogonię.

Wreszcie dotarli do stacji; prawie jednocześnie.

Wybiegli konduktorzy, maszynista zeskoczył z parowozu i patrzą co to za pociąg tak za niemi gonił?

Wtem wysiada z tamtąd maszynista, taki pan Siergiejew. I śmieje się!

— Czego — mówi — przestraszyliście się, chłopaki? Jeszcze chwila — mówi — i dogonił bym was!

Na innej stacji możeby takiego maszynistę przytrzymali i do G. P. U. oddali, ale tu jakoś nie bardzo się tem przejęli.

Może dalej jechać, powiadają, do stacji Rososz, niech tam sprawdzą o co mu idzie.

Maszynista z pasażerskiego jednak oświadcza:

— Tylko niech on teraz pierwszy jedzie. Takie wyścigi to mi tylko na nerwy działają.

Ruszyli w dalszą drogę. Ale już na najbliższym przystanku maszynista Sergiejew o jakieś wagony towarowe zaczepił i parę sztuk rozbił.

Tu już go aresztowali za te wszystkie awantury arabskie.

Spisują protokół. Pytają dlaczego tak nieostrożnie i arogancko się zachowuje.

Siergiejew mówi:

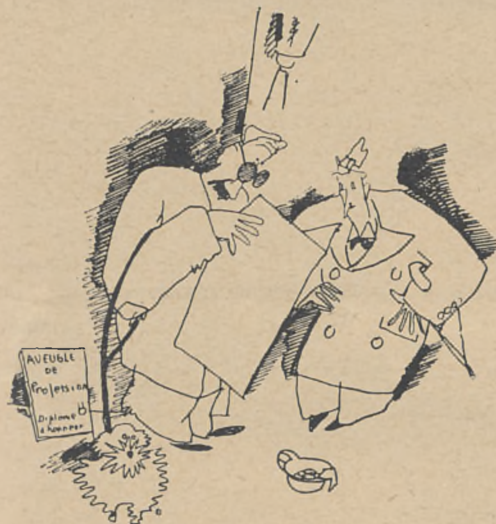
— Ja, widzicie, chciałem się zwolnić ze służby, a nie puszczają. Trzeba więc było coś takiego narobić.

Mądrzy są dziś ludzie. Różnych się środków chwytają. I swego dopną!

Ten arogancki Siergiejew też swego dopiął — zwolnili. A co się tyczy lepszego miejsca, to też napewno dostanie. Nawet z urzędowym wiktem.

Djabli nadali, jaki teraz naród parszywy!

Tłom. *S. Kr.*



— *Cóż to, ślepi jesteście i czytacie gazetę?*

— *Ja nie czytam, a tylko obrazki oglądam...*

Okładkę projektował
JERZY RADLICZ



Ogólny widok Abazji.

Abbazia

Pierwsze wrażenie, jakie odnosi przyjezdny, spojrzawszy na morze, to złudzenie, że Abbazia leży nad brzegiem jeziora, bowiem wyspy Quarnero, znajdujące się w odległości 15 do 20 km., stąd, niemal zupełnie zamykają horyzont. Są to wyspy Cherso, należące do Włoch, oraz Krk (może któremu z czytelników „7 Dni" uda się wymówić to słowo!), należąca do Jugosławji. Pasma gór od strony lądu, ze szczytem Monte Maggiore 1396 m. (skąd podczas pogodnych dni widać wenecką campanillę), osłaniają Abbazję od północy oraz od zachodu, co niewątpliwie wpływa dodatnio na klimat tutejszy. To też roślinność jest tu niemal podzwrotnikowa: palmy, oleandry, laurusy i t. p. nadają Abbazji charakter wybitnie południowy, a malowniczość położenia przypomina słynne miejscowości z nad włoskich jezior i francuskiej Riviery. Piękno tego zakątka Adrjatyku ściąga do Abbazji rok rocznie znaczną ilość gości, z pośród których, pod względem narodowości, przeważają Węgrzy, Austrjacy i Niemcy.

Dzień spędzony w Abbazji zaczyna się zazwyczaj od kąpieli na którejkolwiek ze sztucznych plaż (wybrzeże jest bowiem skaliste). Woda morska zawiera znaczny odsetek soli i jest stosunkowo b. ciepła, np. obecnie posiada 24° C, to też kąpiele morskie są bardzo przyjemne i zalecane przez lekarzy nawet dla osób starszych. Po południu ma się do wyboru albo dancing, lub też jedną z licznych wycieczek do pięknie położonych miejscowości sąsiednich, jak Fiume, Lauzana, Valosca i in., w góry, do słynnych na cały świat grot Adelbergskich, lub na wyspy Quarnero. Dla publiczności, lubiącej się bawić, niemal co wieczór, urządzane są bale w wielkich hotelach tutejszych. Zabawy te, połączone z iluminacją ogrodów, pełnych palm i innych egzotycznych roślin, sprawiają wrażenie, jak z bajki. Nic też dziwnego, że niedawno jeden z naszych rodaków, zachwycony Abbazją, nazwał ją „rajem na ziemi".

Gdy widzimy te tłumy turystów ze wszystkich krajów, dla których wykuto w skałach cudowne drogi nad morzem, udostępniono i uprzyjemniono spędzenie dni wypoczynkowych, samo przez się nasuwa się pytanie, kiedy nasze piękne plaże nad Bałtykiem, wspaniałe Tatry i inne urocze zakątki Polski staną się celem wycieczek zagranicznych turystów; inwestycje w tych miejscowościach stokrotnie opłaciłyby się krajowi. *K.*



Perspektywa morza od strony strandu.

Ciekawostki z torów



Konie parowe coraz bardziej „handicapują" żywe koniki, bo oto już i w dziedzinie totalizatora. Podczas wyścigów samochodowych coraz częściej kursuje autobus—ruchoma stacja totalizatora, uważana przez publiczność angielską za bardzo pomysłową inowację.

Tradycyjne pojazdy wyścigowe, mail-coach'e również ustąpiły miejsca samochodom. Pojawienie się podobnego ekwipażu na ulicach Paryża budzi ogólną sensację.

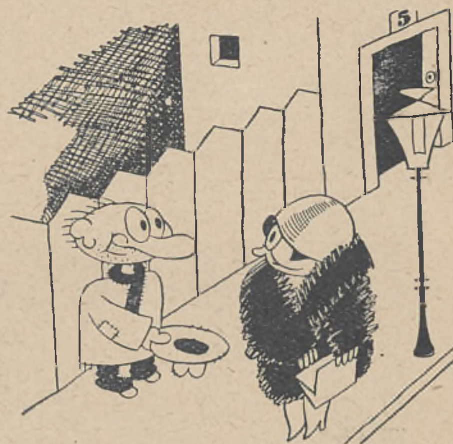


Przy torach paryskich zainstalowano automatyczne urządzenia dla gry w totalizatora, dzięki którym grający osiągną maksimum kontroli.



Dżokej-rekordzista, Otto Schmidt, który w ciągu swej 34-letniej karjery uczestniczył w 5000 biegach i osiągnął nie mniej 2000 zwycięstw.

Humor



— Jestem autorem dzieła, opisującego 12 sposobów zostania miljonerem...

— No, dobrze, — a dlaczego pan został żebrakiem?



— Jakie miłe dziecko... A ile sobie liczy?

— Trzy miesiące.

— Pewnie najmłodsze...

KATEDRA POWODZENIA





Drapacze chmur wznoszące się nad olbrzymiemi mrowiskami ludzkiemi, jakiemi są miasta amerykańskie, sprawiają fascynujące wrażenie.

„Patrząc na te olbrzymie masy „buildingów" — pisze Paul Morand — odnosi się wrażenie, że to strzeliste katedry, wzniesione ku czci powodzenia — „success", jak modlitwa, przyjemna bogom purytanów... Człowiek współczesny musi spoglądać na drapacze chmur z takim zachwytem, jak ongi Grek antyczny podziwiał Partenon".

Klasycznym gmachem, który dotychczas zwiedzały tłumy ludzi, przybywających do New Yorku, był Woolworth Building. Nie mniej interesującym był dotychczas gmach hotelu Waldorf Astorja. Ostatnim jednak cudem techniki budowniczej jest olbrzymi drapacz chmur Chryslera, który został wykończony niedawno.

Strzelista kopuła tego „buildingu" zasługuje zwłaszcza na uwagę, jest bowiem pokryta olbrzymiemi płytami srebrnemi, dzięki którym gmach znakomicie się odcina od szarzyzny bloków innych „scraperów".

Chrysler building jest właśnie ideałem „katedry powodzenia", o której wspomina Paul Morand.

Potężny gmach Chrysler buildingu dumnie się wznosi ponad New-Yorkiem. Jego jedynymi dotychczas towarzyszami są płatowce i sterowce...

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.